

eczny i od kilku lat służy on tylko na czasowe schronisko dla wędrujących cyganów.

— Z pewnością przybył tam nowy obóz cygański: schronili się do środka z obawy przed burzą.

Wilfred zamyślony, patrzył na błyszczące przed nim światło. Towarzysz jego wziął go pod rękę, by pociągnąć z powrotem. Nagle zadrżeli obaj.

Wśród grobowej ciszy nocy, jakiś ostry długi, krzyk przeraźliwy dobiegł ich uszu. Zdawało się, iż rozdziera on ciemności, drga wszystkimi tonami bólu, wznosi się wyżej, poczem z wolna zaniera jękiem. Jednocześnie światło znikło.

— Co tam się dzieje? — zawołał, drżąc cały Ponderbury.

— Chodźmy czempredzej, trzeba się przekonać — odrzekł Wilfred.

— Ależ.... — zawachał się stary urzędnik.

— Nie traćmy czasu, tam może o życie ludzkie chodzi!

I nauczyciel chwytając go za rękę, pociągnął naprzód. Z trudem biegli w ciemnościach, potykając się na nierównym gruncie. Blisko szopy zatrzymali się na chwilę, by odetchnąć: usłyszeli lekki jęk. Przyspieszyli kroku i Wilfred pierwszy wpadł do środka.

— Kto tu jest? — zawołał przerażony.

Z kąta szopy dobyło się ciche, stłumione rżenie konającego. Wilfred podbiegł w stronę, z której dochodził ten głos i potrafił nogą o jakąś przeszkodę. Schylił się w tej chwili i macając ręką natrafił na ciało ludzkie, leżące na ziemi. Z piersi płynęła mu lepka i ciepła ciecz. Rozległo się silniejsze jęczenie, które wkrótce zamieniło się w charczenie. W chwili tej wszedł zadyszany Ponderbury.

— Predzej! — odezwał się po cichu Wilfred — ma pan zapaliki? Niech pan poświeci.

Urzędnik trzasnął zapalką i szczęśliwie wzrok jego padł na maty ogarek świecy, pozostawiony zapewne przez ostatni tabor cygański. Zapalił go zaraz i przysłaniając ręką od powiewu wiatru zbliżył się do Wilfreda, który klęcząc, podtrzymywał ręką głowę jęczącego człowieka.

Przy słabym świetle świecy, młody nauczyciel mógł skonstatować, że z lewej piersi nieznajomego płynie obficie krew. By ją zastamować wyciągnął w jednej sekundzie chustkę z kieszeni i przytknął ją do rany. Nieznajomy podziękował mu za to wdzięcznym wejrzeniem.

— Niech pan zawoła o pomoc — odezwał się Wilfred do swojego towarzysza, który błądzący ze strachu trzymał w drżącej ręce migocące światło.

Przy słowach tych, ranny zrobił wysiłek, jakby chciał podnieść się na rękach, brakło mu jednak sił do tego, wstrząsnął tylko głową i szepnął jakieś niezrozumiałe słowa. Nauczyciel nachylając się do samych jego ust, dosłyszał tylko: za późno.

Ponderbury chwytając się ze wzruszenia na nogach, przyklęknął z trudnością koło umierającego. Gdy zbliżył do niego światło, Wilfred naraż zatrząsł się cały i zawołał przeraźliwym głosem:

— Mój ojciec! Boże! co się stało! Ojciec, ojciec mój! mów do mnie, mów!

Oczy umierającego rozjaśniły się lekko, a z półotwartych błędnących warg dobył się bezdźwięczny szep: Wilfred. Nieszczęśliwy syn przypadł ustami do jego twarzy i całował zimne czoło ojca Ponderbury przejęty tą sceną, odwrócił głowę na bok i zakał, jak małe dziecko.

— Ojciec, powiedz mi, co się stało? Czyś po to wrócił do kraju, by umrzeć taką śmiercią?

Usta starca poruszyły się znowu, lecz bezsilnie do wydania dźwięku, twarz zaś jego zmarszczyła się jakimś niewypowiedzialnym bólem.

— Ojciec, kto cię zabił? kto ci zadał ten cios? powiedz mi jego imię.

Z pod przysłoniętych powiek oczy jego zabłyśły lekko. Ku wielkiemu zdziwieniu Wilfreda, ojciec zdołał unieść się na łokciu i dał mu znak, by się zbliżył. Przyłożył on pospiesznie twarz do wychylonych warg, lecz dosłyszał tylko chrypliwy szwęk i głowa ojca opadła mu na ręce. Już nie żył!

## II.

Na trzeci dzień rano po odkryciu tej strasznej zbrodni Wilfred Alliston siedział w swym pokoju zamyślony, spoglądając na fotografię ojca.

Gdy Ponderbury wybiegł z szopy, by zawołać o pomoc, spotkał na drodze dwóch mieszczan, dzięki którym sprowadzono z miasteczka nosze i przeniesiono zwłoki ofiary do mieszkania nauczyciela. Jednocześnie zawiadomiono miejskiego policyanta. Mimo spóźnionej pory wiadomość ta rozniósła się szybko po całym Greenleafhurst i do samego rana wszyscy dyskutowali nad tą zbrodnią, czyniąc najrozsądniejsze przypuszczenia.

Sir John Lesterham, jako sędzia pokoju został natychmiast poinformowany o zaszłym wypadku; na drugi dzień udał się wczesnym rankiem do szkoły, raz jako urzędnik, a zarazem by wyrazić swoje ubolewanie i sympatię Wilfredowi. Współczujący baronet uczynił wszystko co mógł, by oszczędzić nauczycielowi nieprzyjemności śledztwa, nie mógł jednak przeszkodzić, by nie przeniesiono ciała zabi-



Ojciec, kto cię zabił? Kto ci zadał ten cios? Powiedz mi jego imię!

tęgo do policyi. Zdołał jednak nakłonić koronera, sędziego śledczego, by zadowolili się tylko piśmiennym zeznaniem Wilfreda, a nie wymagał ustnego, składanego publicznie.

Nieszczęśliwy syn odczuł dla baroneta prawdziwą wdzięczność za okazaną sobie uprzejmość, jednak gdy się dowiedział, że obecność jego będzie niezbędna w policyi w razie potrzeby uzupełnienia swego zeznania drobnymi szczegółami, okazał zupełną gotowość do tego, pragnąc dowiedzieć się sam wszystkich faktów zebranych przez śledztwo. Postanowił do tej pory nie spocząć, dopóki nie odkryje zabójcy ojca.

Wilfred nie miał przyjaciół, z którymi mógłby podzielić się swoim nieszczęściem, mimo to, rano dnia tego, siedząc przy stole, miał przed sobą przygotowany papier do pisania listu. Istniała bowiem osoba, tyle dotknięta tą zbrodnią, co i on: myślał o kobiecie, z którą małżeństwo jego ojca tak go ongi rozgniewało. Czuł obecnie, iż bez względu na swój stosunek do niej, winien ją zawiadomić o śmierci ojca. W każdym razie była to kobieta, która kochała ojca, należało też uprzedzić ją o nieszczęściu z oględnością i czułością.

Tutaj jednak nasuwała się pewna trudność. Wilfred nie wiedział nawet, czy ona żyje, czy już umarła.

Ojciec zachował o niej najzupełniejsze milczenie i nigdy ani jednym słowem nie wspominał o niej w swych listach. Jeżeli żyje, czy towarzyszyła swemu mężowi do Anglii, czy też pozostała w Peru. Jeżeli bawi w Europie, wiadomość ta napewne już ją doszła i wkrótce winna przybyć do Greenleafhurst. Rozmyślał właśnie o tem, gdy przed ogródek zajechała bryczka, z której wysiadł sir John Lesterham i zbliżył się do okna.

— Dzień dobry — rzekł baronet uprzejmie. — Ponieważ obecność nasza będzie dzisiaj rano potrzebna, wstąpiłem po pana, byśmy razem odbyli tę drogę.

— Serdecznie dziękuję — odpowiedział Wilfred, ściskając mocno podaną sobie rękę. — Nie wiedziałem, że pan także musi być przy śledztwie.

— Oh, idę tam tylko jako świadek. Mam poinformować sędziego co do tej szopy cygańskiej; przytem także chciałbym dowiedzieć się, czy zebrano już jakie fakty.

— I ja tego bardzo pragnę — odrzekł Wilfred, wychodząc z domu i siadając do wózka baroneta.

Przez ten czas w merostwie zebrali się ludzie, wezwani do śledztwa i sędziowie przysięgli. Przed domem stali zaciekawieni mieszkańcy, oczekując przybycia koronera. Uwagę wszystkich zwracał wysoki mężczyzna, trzymający się na uboczu, którego wtajemniczeni nazywali detektywem przybyłym z Londynu. Najwięcej jednak ludzi skupiło się koło Ponderburyego, naocznego świadka całego wypadku.

Ubrany odświętnie, z miną namaszczonej, stosownie do podniosłej chwili, opowiadał po raz może już setny całe zdarzenie. Słuchaczy nigdy mu nie brakło, zawsze był otoczony ludźmi, którzy z głębokimi westchnieniami słuchali jego opowieści. Gdzie się tylko pokazał, znajdował koło siebie ciekawych, zwłaszcza zaś w oberży pod „Czerwonym Lwem“. Stał się główną osobą, ważniejszą od zamordowanego. Zbrodnia ta z ust jego wychodziła jako piekielne przestępstwo, dokonane przez jakieś siły niewidzialne, dyabelskie.

Wreszcie przybył koroner i odezwał się do zebranych:

— Panowie zostali wezwani, by uczestniczyć w śledztwie, które ma wam okazać, gdzie, kiedy i jak, w jaki sposób Ryszard Alliston, urzędnik konsulatu Jego Królewskiej Mości w Peru, znalazł śmierć. Panowie zbadali już ciało wystawione w sali umarłych. Wobec bolesnych okoliczności, dotyczących rodziny ofiary postanowiłem uwolnić głównego świadka pana Wilfreda Allistona od ustnych zeznań, zadawałając się piśmiennym jego zeznaniem, które zaraz odczytam:

„Ja, Wilfred Alliston z Greenleafhurst, hrabstwa Surrey etc. etc. zeznaję, że 1 sierpnia b. r. otrzymałem wieczorem telegram z Londynu od swego ojca, który oznajmił mi, że przyjeżdża do mnie do Greenleafhurst.

lecz przedtem ma jeszcze naznaczone spotkanie w sąsiedztwie i dlatego prosi, bym nie przybywał na spotkanie na dworzec.“

Depeszę podano sędziom przysięgłym, którzy po obejrzeniu jej zwrócili pomietą już i pobrudzoną koronerowi.

„Tęgo samego wieczoru koło godziny daiewiatel, przechodziłem w towarzystwie pana Ponderburyego, kierownika miejscowego urzędu pocztowego, przez pole, leżące na końcu gminy, w kierunku głównej znanej drogi, którą miał jechać mój ojciec. Było zupełnie ciemno, niebo pokryło się chmurami. Ponieważ z trudnością tylko mogliśmy posuwać się naprzód, zdecydowaliśmy się powrócić do domu. W chwili tej usłyszeliśmy głośny krzyk jakby osoby doznającej wielkiego bólu. Pobiegłem szybko naprzód. Krzyk ten dobywał się z szopy cygańskiej, w której świeciło się wówczas małe światełko. Po przybyciu do szopy ciemności nie pozwoliły mi nic widzieć, słabe jednak jęczenie skierowało mnie do rogu, w którym napotkałem ciało ludzkie.

(Ciąg dalszy nastąpi).